GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEN.

№ 23. Warszawa, dnia 26 Maja / 7 Czerwca 1877 r.



Fotodruk L. Krakowa.

Kaliksta Ćwiklińska.



KALIKSTA ĆWIKLIŃSKA.

Bardzo rzadko zdarzy się spotkać w świecie zakulisowym osobistość, tak odrębną od zwyczajnego jego tła, jak ś. p. Cwiklińska w lutym roku bież. zmarła, artystka teatru krakowskiego. Jakkolwiek sława jéj nie daleko wyszła poza granice rodzinnego miasta, to przecież w kronice tamtejszéj sceny pozostawiła ona piekną kartę, na któréj obok wieńca artystki kochającéj sztukę, złożyć wypadnie drugi piękniejszy wieniec uznania dla—kobiety.

W tym świecie malowanym, pozory zastępują rzeczywistość; często się zdarza, że wysoki artyzm idzie w parze z nizką naturą ludzką, że znakomity sztukmistrz naśladujący świetnie wielkie charaktery na scenie, żadnego z nich, albo nawet wręcz przeciwny poza areną swego zawodu nosi. A ta dwoistość, nie samemu tylko światu artystycznemu właściwa—tém bardziéj tu uderza, że ludzie stojący na deskach scenicznych, wystawieni są niejako więcéj na kontrollę publiczną i łatwiéj uwagę opinii na siebie zwracają.

Nie ukrywajmy również, że opinja artystki bardzo często staje w sprzeczności z opinją kobiety, a przeto tém wyżéj wznosi się moralna wartość jednostki, kiedy obie te opinje równoważą się i wzajem wspomagają. Sztuka i moralność nie przeszkadzają sobie, a przecież scena i życie w zestawieniu bardzo często inaczéj dowodzą.

Pod tym względem Cwiklińska należała do rzędu tych wyjątków, które umiały utrzymać zgodną równowagę artystki z charakterem kobiety. Urodzona w Krakowie roku 1850 ukończywszy pensyą nie myslała nawet, ażeby kiedyś wywabiła ją sztuka z cichego kółka rodzinnego. Wrodzone usposobienie muzykalne i zasób talentu, uważała za jeden z tych darów Bożych, które niekoniecznie muszą być spożytkowywane na scenie; jednakże zamiłowanie sztuki sprowadziło ją wcześnie na drogę amatorstwa, na którą raz wstąpiwszy przypadkowo, daléj już w zawód artystyczny z obowiązku iść postanowiła. Udział w teatrach amatorskich nadał jéj pewnego obycia się ze sceną. Zdarzyło się jakoś, że teraźniejszy dyrektor operetki krakowskiéj Hofman, ukończył był właśnie swoich „Żaków“ i miał zamiar wystawić takowych na scenie.

Oryginalna operetka w Krakowie, wystawiona miejscowemi siłami należała w owym czasie za dyrekcyi hr. Skorupki do zjawisk nadzwyczajnych dla publiczności i dlatego wymagała zwalczenia rozmaitych trudności a przedewszystkiem dobréj i zdolnéj śpiewaczki, któraby się jednéj z głównych partyi podjęła.

W braku odpowiedniéj artystki zwrócono się z prośbą o przyjęcie udziału w przedstawieniu do amatorki — i w ten sposób Ćwiklińska weszła na scenę.

Pierwsze powodzenie było wyborne, przyjęcie u publiczności gorące i pełne zachęty. Z jednéj strony pokusa sztuki, z drugiéj namowy przyjaciół i krytyki sprawiły, że Cwiklińska z amatorki, zamieniła się w krótkim czasie na rzeczywistą artystkę i przez lat sześć była filarem operetki zbudzonéj przez jéj udział do nowego życia. Starania dyrekcyi i poparcie publiczności smakującéj w tego rodzaju przedstawieniach zapewniły odtąd operetce prawo stałego obywatelstwa w teatrze krakowskim.

I w ciągu tych lat kilku wszystkie niemal utwory lżejszéj muzy niemieckiéj i francuzkiéj pojawiły się na tamtejszéj scenie a zawsze udział i talent Cwiklińskiéj zapewniał im powodzenie, zwłaszcza że *primadonna* sama miała szczególniejszą własność odejmowania swoją grą, każdéj z osławionych i drażliwych ról owych zbyt charakterystycznych rysów obrażających przyzwoitość i moralność publiczności, a zwłaszcza tak drażliwéj jak krakowska.

Była to więcéj zasługa indywidualności kobiecéj, oddziaływająca na grę artystki. Żądni „silniejszych wrażeń“ czynili z tego powodu zarzut Ćwiklińskiéj, że jéj „piękna Helena“ „Galatea,“ lub „Ks. Gerolstein“—mogły się były nawet za klauzurą klasztorną przedstawić, ale rozumiejący to dobrze ogół publiczności uszanował w artystce tę zmoderowaną stronę gry i niedarmo—swoją ulubienicą ją mianował.

W rozkwicie sił i talentu rozwijanego sumienną bezustannie—pod kierunkiem St. Mireckiego pracą, zdobywszy należne uznanie krytyki na polu artystyczném, rokowała sobie i sztuce najpiękniejsze nadzieje. Wzorowa córka, w jedynym roku pożycia małżeńskiego rzadkich przymiotów żona, ciesząca się przywiązaniem i życzliwością wszystkich koleżanka,—uległa w kilku tygodniach trawiącéj ją bezlitośnie chorobie i tak przedwcześnie zamilknąć musiała raz na zawsze nie tylko na scenie, ale i dla tych, którzy ją sercem najbliżéj i najchętniéj słuchali!

ar.

FRAGMENT.

II.

...Porzuciłem ją samotną w pokoju
Z załamanemi rozpacznie rękami,
Z rozwianym włosem, w potarganym stroju,
Z okiem błagania napełnionem łzami,
Z czołem ubranem w girlandy powoju
Schylonem na pierś:—martwemi oczami
I ust bladością swą boleść tłumaczy—
Jak bez łez żywych posągi rozpaczy.

...I dni minęło wiele.. W nocną ciszę,
Gdy w śnie spokojnym ziemia pogrążona,
Gdy senne czoło marzeniem kołyszę—
Czasem mnie budzi jakiś jęk... to ona!...
Widzę jéj blade czoło, jęk jéj słyszę...
Stoi przedemną niema—rozżalona
Jak w owéj chwili—w powojowym szalu,
W tym samym stroju, z tém spojrzeniem żalu...

O! idź odemnie! idź widmo płaczące!
Weź echo jęków, co w powietrzu fali
Wieczystą skargą zawisło—i drżące,
Ciężkie jak wyrzut sumienia co pali—
Straszne jak rozpacz—wciąż płynie jęczące,
Aż mię ogromem męczarni przewali—
I wezmę cichą śmierć—i mnie posłucha
Przyjdzie—i z kajdan ciała wyrwie ducha.

Wtedy cię przestrach złowrogi ogarnie,
Gdy w jęk podobny twemu się nastroję—
Stanę przed tobą—i wszystkie męczarnie,
I łzy ukażę, jakiemi się poję,
Które padając przepadają marnie;
Gdy ze snu wstawszy—ujrzysz, że ja stoję
U twego łoża—gdy jękiem wyszlocham:
Żem rzucić musiał—lecz jak kochał, kocham!

Wtedy zobaczysz, że na mojem czole
Nie było myśli, co rumienić mogą—
Odczujesz sercem mego serca bole
Przewidzisz duchem mą przyszłość złowrogą,
Żem w wiecznych tortur wijący się kole
Z życiem mem wiązać nie mogłem nikogo —
I jękniesz duszą tonącą w żałobie:
—Zraniłeś serce—lecz przebaczam tobie!

Kazimierz Gliński.

BEZ RATUNKU.

(Czarna sylwetka).

...Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, był już ruiną człowieka.

Życie i użycie wypisały się niestartemi głoskami na jego pożółkłéj a kiedyś pięknéj twarzy.

Cały dziwnie był opuszczony i napół wstrętny, napół zaś litości godny sprawiał widok.

Wpadł do méj pracowni z pieśnią na ustach, z pieśnią o dźwięku ponurym, chrapliwym.

Było to *recitativo* z „Violetty“ Verdiego.

„Dla mnie z miłości pani ta — śpiewał—majątek poświęciła — ja nędzny, ślepy...“ i urwał z szalonym śmiechem. Kapelusz nacisnął na czoło, spojrzał na mnie rozpacznie, zgrzytnął przeraźliwie i zbiegł szybko chroniąc się w ciemnym kącie gdzie za garść miedzi dawano napój, zapomnienie chwilowe przynoszący!

Nazajutrz spotkawszy mnie, przepraszał za oryginalną wizytę... w głosie jego czułem łzę... chciał się przygarnąć do duszy człowieczéj, łaknął słowa pociechy, lecz nie wyrzutu, balsamu miast trucizny, podawanéj nieraz przyjacielską ręką.

— Patrz! mówił—patrz co ze mnie zrobili. Tylko krawat silniéj ścisnąć lub zajrzéć na dno lufy pistoletowéj... wzięli mi dzieci... rzucili w błoto... starli w proch... a przecież...

I niedokończył skargi co zda się najtwardsze rozdarłaby serce.

Wtrąciłem kilka słów o świetnym sezonie w Wenecyi, radziłem wyjazd do mórz królowéj. Był tam niegdyś szczęśliwy.

— Cóż chcesz—odparł — kiedy biedny jestem, Mieszkam pod dachem... w górze, a wkrótce pewno zasnę w dole!

...Krzysztof lepszego wart był losu. Umysłu żywego, duszy tkliwéj i wielkiego talentu człowiek, wlókł fatalny dziś żywot nie żałowany przez nikogo, opuszczony ot, jakby z łaski tylko na tym bożym świecie cierpiany. Potrącano o niego, nie wynagradzając tego nawet zwykłem „przepraszam.“

Był artystą. Do wielkich nie rwała się lutnia jego akordów, lecz pieśni snuł ciche, serdeczne, pełne śmiechu z łzą splątanego.

Mówiono, że się wyczerpał, że nuta jego dziwaczny już dźwięk przybrała, słowem że z marzeniami o sławie i upojeniu, jakie artyście daje tworzenie, powinien był zerwać stanowczo.

— Niech ziemię orze—mówili jedni.

— Mógłby założyć restauracyę—radzą drudzy.

— Dziwi mnie—dorzucił trzeci — dla czego człowiek taki jak Krzysztof do realnéj nie weźmie się pracy. Każdy artysta ma w sobie pół... szaleńca. Powinienby się též poczciwiec ustatkować i wypędzić z siebie złego ducha.

— Świetna myśl szepnął czwarty... gdyby go zamknąć na jakiś czas do szpitala? Co? Tam umieją leczyć— i niejeden ponure mury te błogosławił!

A tymczasem Krzysztof biedny włóczył się posępny, krzepiąc się w sposób hazardowny, co prędzéj czy późniéj mści się nieubłaganie.

Nieraz za lirę chwytał—lecz wnet z bezwładnéj opuszczał ją dłoni, a kilka tonów co w świat przy tém wybiegło, ludzie przyjęli obojętnie, potrząsając głowami i wzdychając z współczuciem.

— Szkoda go!

— Tak się zmarnować...

— Kochały go kobiety — rodzina pieściła— a co za talent?

— Może się jeszcze wygrzebie, podsunął najuczciwszy z téj skrzeczącéj gromadki.

— Nigdy—zakrakali wszyscy a Krzysztof w ciemnym kącie daléj szukał... zapomnienia i spokoju.

...W piękny dzień czerwcowy spotkałem go w oddalonéj od miasta cienistéj alei.

Szedł z głową zwieszoną ku ziemi. Niekiedy przystawał i opierał się o drzewo, lub uszczknął kwiat z pobliskiego trawnika.

Pękiem konwalij, narcyzów i stokroci ustroił swój wielki słomiany kapelusz.

Przypomniał mi się nieszczęśliwy ojciec Regany i Goneryli.

Wszak i Krzysztofowi ideały nie odpłaciły za tę co im dał miłość.

Na czole jego widziałem pogodę, świegot ptasząt rozweselał go a woń kwiatów wzmacniała.

Poruszał ustami jakby się modlił...

Błogosławiłem odludność miejsca i krocząc za nim w olna wzrok swój do niego przykułem.

Gdy się który z mieszkańców gałęzi zatrzepotał, drżałem aby go z tego zachwytu nie zbudził; chciałem stłumić szum krzewów i zabić echo płynącego z miasta gwaru.

Mniemałem, że dusza Krzysztofa otwiera się a natura wlewa w nią uzdrawiające krople!

Nagle na zakręcie wzbił się tuman kurzu — dał się słyszéć turkot powozu i z impetem nadleciał wytworny kocz unoszący rumianego młodzieńca i kobietę, dość jeszcze ponętną lecz sztuką przedewszystkiem błyszczącą.

Krzysztof podniósł gwałtownie głowę.

Rumiany młodzieniec spojrzawszy nań wycedził zwolna:

— Waryat!

Kobieta odwróciła się szybko na bok i skryła twarz za parasolkę.

Krzysztof podskoczył ku powozowi, konwulsyjnem szarpnięciem za cugle wstrzymał konie i przypadł do stopnia.

— Cha! cha! krzyknął dziko... pani mnie nie poznajesz... a to ja, ja przecież, ja który jednak jeszcze się jéj kłaniam.

I zdjął umajony kapelusz i cisnął do stóp jéj, całą obsypując kwiatami...

Rumiany młodzieniec zdrętwiał; kobieta zaś zawołała głosem spokojnym na oniemiałego stangreta: Jedź naprzód.

Konie zacięte batem parsknęły, powóz znikł rychło w alei a Krzysztof stał jeszcze zgięty i powtarzał grobowo:

— A ja się przed panią kłaniam... przed panią!

Podszedłem ku niemu i położyłem rękę na jego ramieniu.

Poznał mnie, jęknął i stoczył się na pierś moją. Płakał.

Tuląc go jak dziecię, odwiozłem do miasta. Przez drogę i słowa nie powiedział, niczém nie wyjaśnił zagadkowego spotkania i przyczyny wybuchu. Tylko mi dłoń ściskał gorączkowo. Szarzało już, gdyśmy dojechali do rogu ulicy, na któréj kiedyś Krzysztof przemieszkiwał.

— Pociągnął mnie za rękę i prosił bym mu pozwolił wysiąść.

— Co poczniesz tu Krzysztofie? zapytałem.

— Co pocznę?... Rozkrwawię jeszcze boleśniéj ranę. Pójdź... zobacz.

Wbiegł na schody, dobył klucza z kieszeni i otwierać począł jedne z bocznych drzwi pierwszego piętra.

Przyznaję, iż z trwogą i zaciekawieniem spoglądałem na niego. Nie mogłem sobie wytłomaczyć coby go tu ciągnęło, jakie tajemnicze otwierał mieszkanie wiedząc iż w innéj części miasta tulił się pod dachem.

Nerwowo otwierał Krzysztof drzwi jedne i drugie.

Otworzył—w pokoju było ciemno — w jednéj chwili zapalił wrzącą u góry lampę i rozlała się w koło struga czerwonego światła.

Byliśmy w małym wytwornie urządzonym saloniku.

Przy kominku wiązka drzewa i dwa krzesełka.

Na stole rozrzucone były książki i dzienniki. Musset i Heine dotykali się grzbietami.

Musset otwarty zarzucony jakąś robotą kobiecą jakby przed chwilą zaczętą.

Daléj na otomanie położony był przebiały strój ranny...

Na innych sprzętach różne przedmioty, mówiące niejako, iż pani tego ustronia niedawno je opuściła...

— Widzisz... to moje gniazdo dawne. To mojéj żony schronienie. Zburzyła je tamta druga, ta sylfida, dzisiejsza—królowa powozów! Wygnała mi ptaszę szczęścia a rzuciła na pastwę sępom i krukom targającym sumienie. Widzisz... tu sam ze wspomnieniami, co mnie do mogiły chylą, przepędzam dnie całe... patrzę w ten komin, w to krzesło; w książki te, caluję i pieszczę jéj drobiazgi, wszystko czego się dotknęła, co jéj było... Zdaje mi się że to *wczoraj* rozkoszne—okropne *dziś* rozwiało a *jutro* może je jeszcze wrócić. Niestety!! ginę — lecz nie przychodzi do mnie—obraziłem ją, opuściłem, skalałem swoje imię, wypaliłem się... jestem trupem!

Domówiwszy tych słów rzucił się jakby chciał uchwy-

cić jakąś postać przed nim stojącą, przycisnął dłonie ku piersiom obejmując tę niewidzialną istotę i runął na wznak...

...W kilka dni później zobaczyłem go. Chwiał się—jakby działał w nim napój.

Człowiek ten tak mnie zajmował żywo, iż godzinami za nim snuć się potrafiłem.

Uważałem iż zmierzał znów do dawnego mieszkania, do owéj klatki z złotego ptaka osieroconéj, którą biedak z wielkim wysiłkiem zdołał dla „potrzeby swego życia“—jak mawiał—utrzymać. Przystanął nawet przed bramą—lecz nie wszedł—i wrócił się szybko.

Podszedłem ku niemu.

— Dla czegoś się wrócił Krzysztofie? zapytałem, nie mogąc się oprzeć ciekawości.

— Wstyd wyznać, ale ci powiem... wiesz... znów... za wiele... dziś...

Nie potrzebował kończyć — rumieniec który wybiegł na twarz tego męczennika reszty dopowiedział!

Więc nie chciał profanować wspomnień jedynego skarbu jaki dziś posiadał.

...Związana z nim stułą nie wraca doń i nie wraca. Wzięła mu nawet dziecię.

Kochanka zapomniała...

Ludzie opuścili...

Krzysztof coraz bledszy, coraz straszniéj osamotniony, coraz rzadziéj skrada się do swéj świątyni...

Bez ratunku!

Tadeusz Czapelski.

Gardło i śpiewacy.

Dr. Mandl, znany lekarz chorób gardlanych, wydał obecnie dzieło o ludzkim głosie traktujące, pełne zajmujących szczegółów i żywych anekdot kraszących poważne wnioski.

Między innemi wyróżnia się tu oddział traktujący o środkach pomocniczych, używanych przez znakomitych artystów dla odświeżenia głosu.

W rzeczy téj nie ma żadnych reguł; każdy idzie za swojem usposobieniem i posila się stosownie do temperamentu.

Co mnie pomaga, może tobie szkodzić czytelniku — tak i tu. Każdy wynaleźć musi dla siebie specyfik.

Podczas gdy mówcy pospolicie szklanki wody używają do odświeżenia gardła, śpiewacy poczynają sobie każdy inaczéj.

Tak utrzymuje pan Mandl i na dowód tego składa liczne przykłady, których autentyczności ze względu na biret doktora podejrzywać nie chcemy.

I tak twierdzi dr. Mandl iż Labatt, dzielny tenor nadwornéj opery wiedeńskiéj, przed każdą większą aryą w „Tannhäuserze“ je kawałek kwaszonego ogórka.

Sontheim zażywa tabakę i pije wiele lemoniady.

Wachtel połyka mieszaninę jaj i cukru.

Steger, najgwałtowniejszy ze wszystkich tenorów niemieckich i mocno krzyczący pił kufel piwa.

Walter każe sobie podawać filiżankę czarnéj kawy.

Niemann wychyla kielich szampana!

Tichatschek odświeżał się gorącém Bordeaux przyprawioném cukrem i cytryną.

Tenor Ferenczy pali cały czas za kulisami i rzuca papierosa przed samem wyjściem na scenę. (Podobno i głos jego ma być nieco okopcony).

Nachbaur żuł bonbony.

Baryton Robinson skrapiał gardło miodem.

Formes porterem.

Beck nic nie robi i wstrzymuje się nawet od mówienia, co pewno jest najrozsądniejszém.

Faure postępuje tak samo; posuwa się nadto daléj, w dniach bowiem występu nie przyjmuje nikogo i do wieczora zostaje w łóżku!

Basista Draxler pali tytuń turecki i zapija piwo.

Towarzysz jego dr. Schmidt wybiera między kawą i herbatą, limonjadą i miodem. W pauzach zażywa tabaki, je jabłka, śliwki i suchy chleb.

Pani Sontag podczas antraktów spożywała sardynki.

Pani de Sparre zadawalniała się ciepłą wodą.

Cruveli mieszała szampana z bordoskiem winem.

Adelina Patti odświeża się wodą sodową.

Nillsson używa piwa.

Pani Cabel jadła gruszki.

Na Trebelli Bettini doskonale oddziaływały poziomki.

Pani Borghi Mamo zażywała tabakę.

Pani Dorus Gras jadła zimne mięso.

Wszystkie te właściwości, jeśli tylko są istotne — a jeszcze raz powtarzamy iż prawdomówności doktorskiéj obalać nie chcemy—wskazują różnicę między organizmami i uniemożliwiają zastosowanie jednych i tych samych prawideł.

Jest bowiem pewne, że podniecające środki, używane przez panią Dorus, odebrałyby chętkę do śpiewu Faurowi i że pani Sontag przyjąwszy system de Sparre uczułaby się mniéj dysponowaną.

△

ROSSI.

(*Dalszy ciąg*).

W pierwszych dwóch aktach czuć w nim silnego męża, śmiałego wojownika, któremu rzeczpospolita wenecka powierza swoje losy na polu walki z nieprzyjacielem. W boju ten murzyn na czele swoich hufców musi być strasznym. Jeśli wraca zwycięzcą, to konieczności tylko staje się zadość—inaczéjby nie wrócił. Jest jakiś tajemniczy nimbus bohaterstwa nad tém zwęglonėm czołem, chociaż o czynach jego słyszymy tylko z opowiadania drugich i z ust Desdemony, co sercem i wyobraźnią dziewiczą słuchała jego dziejów i przygód wojennych.

Ta odwaga, ta mezkość w całéj postaci Otella porwały ją i... pokochała. Że przedmiot téj miłości, to „potwór czarny i szkarada,“ że mu brak pięknych rysów Apollina i jasnéj cery — nie powód jeszcze, aby się nie miał podobać Desdemonie, która jak wszystkie kobiety nosi w łonie sfinksową zagadkę. Szeroko możnaby rozprawiać o miłości na temat uczucia Desdemony i zastanawiać się nad rozmaitością jego pobudek, jak i dziwną tajemnicą natury kobiecéj, która nigdy zdaje się ostatniego słowa nie wypowie w kwestyi: „*ce qui plait aux femmes*.“

Dla czego zaś zielone liście lauru piękniejsze wydają się jéj na hebanowém czole, niżeli na skroniach innych współczesnych rycerzy, to już rzecz między nią a Szekspirem.

Zaledwie czarny wódz ochłonie z jednéj namiętności, jaką jest dla niego walka—natychmiast wpada w drugą, co na imie ma Desdemona.

Rossi widocznie nie godzi się wcale z owymi komentatorami Szekspira, którzy w Desdemonie chcą się dopatrzéć demonicznéj kochanki, z zamkniętemi oczyma rzucającéj się w objęcia Otella. Takiego Otella, jakim go Rossi w początku sztuki przedstawia, pomimo zewnętrznéj szpetności—kochać może nawet kobieta bez zaślepienia.

Temu też do chwili, w któréj Jago pierwsze słowo podejrzenia wrzuca nieznacznie w serce swojego pana, srogi tyran w grze Rossiego wychodzi sympatycznie—nie zdradza niczém charakteru dzikiego, każe nam wierzyć w uczucie, nie samą tylko namiętność murzyna.

Dopiero podszeptem Jagona zbudzona zazdrość wybucha gwałtownością, lecz konsekwentnie o jeden ton niżéj nastroiwszy cały charakter, ogranicza się Rossi do objawów wielce zmoderowanych.

Opuszcza on tedy całą gwałtowną scenę z chustką, jakoteż wstrętną swym realizmem scenę epilepsyi. W jego szamotaniu się z samym sobą poznać jeszcze naturę ludzką ugodzoną boleśnie, ale nie widać zupełnego jéj upadku. Zazdrość nie pozbawia go zmysłów,—cierpi zatruty jadem podejrzenia, ale cierpi jak człowiek.

Nawet w chwilach najwyższego rozdrażnienia nie staje się Rossi odrażającym, budzi nawet współczucie w widzu dla téj szalonéj walki z własną namiętnością, którą sam wpuścił do serca, aby mu je pokąsała i zatruła.

W ostatnim akcie, kiedy wchodzi ze światłem na scenę, już w jego twarzy znać okropny zamiar, obmyślany, gotowy, — wynik refleksyi zdradzonego męża, który przychodzi ukarać z całą samowiedzą wiarołomstwa.

Rossi nie rzuca się skokiem pantery na swoją ofiarę, z tą okropną zimną powagą sędziego, co za chwilę sam zostanie katem, przystępuje do łoża Desdemony. Zabije ją, ale zabije nie w napadzie szału, nie ukropem własnéj krwi podżegnięty, lecz z rozmysłem.

Coś do głębi przerażającego miała ta powolność w przygotowaniu do śmiertelnego ciosu. Mimowoli przypomniał się wstrętny i potworny morał: *tue la*! z „Żony Klaudyusza!“ a taką tendencyę wolno było miéć Dumasowi, lecz nie znajdzie jéj u Szekspira, przygotowującego wszędzie zupełną ekspiacyę, któréj sama sprawiedliwość nie miałaby nic do zarzucenia.

Nasz wiek postępowy mógł sobie utworzyć taką wyrozumowaną teoryę małżeńską, — Szekspir był od niéj na szczęście kilkoma stuleciami oddalony i mógł ją tylko przedstawić jako akt zapamiętałości i szału.

Nie wiemy jakiemi argumentami poparłby znakomity artysta swoje pod tym względem pojęcia, według których co prawda jego Otello był konsekwentnym w całości i skończonym, lecz zdaje nam się, że Szekspirowski murzyn zyskując na cechach ludzkich stał się potworniejszym przez swoją zbrodnię, niżeli go autor przedstawić zamierzał.

W Otellu Rossiego zanadto przebija proces myślenia. Ta wyrozumowana zemsta na żonie traci większą część swego charakteru, jakiego jéj— zdaniem naszem autor nadać pragnął.

Scena samobójstwa znowu dała artyście sposobność popisania się z całym zasobem realistycznych środków gry, ale chociaż w niéj było wiele prawdy i naturalności, może za wiele—robiła wrażenie przykre, tracąc na korzyść realizmu warunki estetyczne.

Śmiertelne podrygi i nóż zatopiony w gardle nie przyczyniły się do wzmocnienia efektu śmierci, którą Rossi w jéj najpiękniejszéj formie podglądnąć umiał w Learze, Hamlecie i Romeu.

* * *

—„Proszę cię przyjacielu, zagraj cokolwiek na tym instrumencie,—zagraj co bądź, uczyń to przez miłość dla mnie,“ mówi królewicz duński do Rosenkranza wciskając mu flet do ręki.

Niemal to samo przemawia Hamlet do artysty, któremu powierzono jego rolę, a rzadko który nie odpowie po nadaremnej próbie:

— „Nie umiem, nie potrafię Mości Książe—jako żywo, to nad moje siły zadanie!“

Ileż to dzielnych umysłów zastanawiało się nad tą wcieloną zagadką psychiczną dostojnego melancholnika, któremu ludzkie zbrodnie ołowiem spadły w duszę i przygniotły ją cierpieniem.

Kto to jest ten Hamlet, niby waryat a tak loiczny i konsekwentny? niby nie poczytny w swojem postępowaniu, a kreślący takie zręczne plany i tak pomysłowy? W nim to prawdziwą harmonią duszy ludzkiéj układają się z dysonansów wspaniałe akordy.

Aktor obejmujący rolę Hamleta podejmuje się koncertu na rozstrojonym instrumencie. Cała sztuka w odszukaniu i wydobyciu wszystkich półtonów, a największa trudność w zgodném powiązaniu ich ze sobą.

Byli artyści, co charakter Hamleta uważali za wynik nerwowéj, kobiecéj natury, podlegającéj ciągłym zmianom, nie mogącéj sobie saméj zdać sprawy ze siebie. Byli tacy, co do czarnego kostyumu młodego księcia dopasowali czarną melancholię i kazali mu wzdychać niby pod brzemieniem *weltschmerzu*. Inni jeszcze pozwolili mu mieć w ciągu całéj sztuki pomieszanie zmysłów, w którem *lucida intervalla* stanowiły wybitniejsze momenta psychologicznych przewrotów.

Wszystkim epizodycznie udawało się z téj przedetéj fletni wydobyć kilke czyściejszych tonów, ale wielkiéj skończonéj całości w grze, mało który utworzyć potrafił.

Rossi inaczéj niż wszyscy inni pojął Hamleta. Szczęśliwa sposobność pozwala nam jego własnemi posłużyć się słowami w tym wypadku.

— „Podług mnie powiada on — Hamlet nie jest to ekscentryk, ani półwaryat, ani nieszczęśliwe dziecko północy, oddychające mgłą popychającą umysł do melancholii, widzę w nim człowieka gnębionego dwiema zbrodniami: zabójstwem i wiarołomstwem. Człowiek, obciążony na sumieniu choćby się był urodził nie w mglistéj Danii, lecz pod lazurowém niebem południa, na ziemi ocieplonéj niegasnącém słońcem — nie podziwiałby piękności tego nieba, nie czułby ciepła téj ziemi. Dusza jego byłaby ciągle szarpana rozpaczą, umysł ciągle niepokojony widmami konieczności i niemocy, ciało gasłoby w bezczynności. Odrzućmy od Hamleta lody i mgły, jakiemi go poeta otoczył i przenieśmy go pod niebo Neapolu — a zobaczymy też samą (?) rozpacz, rzucanie się i bezczynność. Jak Eschyl chciał w Prometeuszu przedstawić ludzkość całą, tak Szekspir stworzył Hamleta mówiąc: oto człowiek, patrz na niego, a odnajdziesz się w nim. Tak pojąłem Hamleta; przedstawiam w nim charakter dobry dla wszystkich narodów. Nic niema szkodliwego w sztuce nad przesądne bałwochwalstwo tradycyi — to, co niegdyś było pałacem, dziś może być tylko zajazdem, a dawny okręt — dziś łupiną orzecha...“

Czy i o ile ten filozofujący zawsze i wszędzie w ciągłych refleksyach zatopiony umysł, ten charakter przeważnie bierny, skryty, siłą woli czy nieszczęścia przytłumiony, nadaje się rzeczywiście do takiego „*ecce homo!*“ w jakiéj epoce dzieckiem byćby mu potrzeba i czém właściwie Szekspir widzieć go chciał na scenie,— rozbierać tutaj nie mamy zamiaru.

Znalazłoby się wiele za i przeciw, lecz poznawszy grunt na jakim Rossi stawia swoją kreacyę, musimy uchylić czoła przed jéj wykończeniem i oddaniem. Jakiś przedziwny urok smutku i poezyi owiewa tę piękną postać szlachetnego książęcia. Można go pokochać, jak Ofelja.

(*D. c. n.*).

SPORT.

Wyścigi na polu Mokotowskiém pod Warszawą.

Pierwsze tegoroczne wyścigi odbyły się w d. 10 czerwca przy sprzyjającéj pogodzie, zanadto nieco palącém słońcu i wielkim napływie publiczności zajmującéj wszystkie galerye i okalającéj cały plac wyścigowy.

W środku hippodromu mnóstwo ekwipaży: pomiędzy niemi wyróżniało się kilka, parą koni zaprzężonych, które tak pod względem doskonałości koni świetności powozu i uprzęży, jak niemniéj doborowych kuczerów w odpowiedniéj a wykwintnéj liberyi, całość harmonijną tworzyły.

Z *four in hand* odznaczał się jeden tylko do hr. Aug. Potockiego należący, który pod wszelkiemi względami mógł iść o lepsze z najpierwszemi tego rodzaju ekwipażami w Hyde-Park'u spotykanemi.

Wszystko tu się składało na świetność i doskonałość bez wymuszo-

nego blasku i bijącéj w oczy jaskrawości. Prawdziwy szyk angielski, zachwycający każdego sportsmana swoją poprawnością tam widniał.

Inne tego rodzaju zaprzęgi dziwnie pretensyonalne albo grzeszyły pewnym brakiem, albo też śmiech wzbudzały nędzną uprzężą, kiepskiemi szkapami i w ogóle smutną całością.

Zaprzęgi tego rodzaju jak *four in hand* jako właściwe tylko ludziom dobrego gustu, będącym w stanie połączyć wszelkie wymagane ku temu rzeczy, mianowicie dzielne rumaki, nowożytną uprząż, elegancki *breck* lub też *coach* i odpowiednio do całości ubraną służbę, sprawiają przyjemny widok dla oka sportsmana i każdego nawet nieznawcy. Przeciwnie zaś zbieranina niedobranych 4-ch szkap starych, w przeszłym wieku używanych szorów, obecnie na Pociejowie pozbieranych, oraz Bartka lub Maćka na koźle w przenicowanéj ze starego tużurka pana liberyi, śmiech i politowanie wzbudza, raz przez swoją nieestetyczność, a powtóre przez widoczną chęć rywalizowania, lub jakiejś impozycyi.

Z wierzchowych koni odznaczała się klacz gniada jen. świty J. C. M. Sierzputowskiego pochodząca ze stada Aleksandrowskiego, któréj klassyczna budowa, wspaniałe ruchy i znakomite wyjeżdżenie zwracały uwagę znawców.

Niemniéj podobał się ogier gniady p. R. ze stada hr. Michała Wołłowicza pochodzący.

Do pierwszéj gonitwy, nagroda głównego zarządu stad rządowych rs. 500, drugiemu koniowi ze stawek rs. 150, bieg wiorst 2, sążni 133, stanęły 4 konie: klacz kara Chon p. Wodzińskiego, ogier skgn. Vanadis pana Dobrogosta, ogier gniady O'Haras p. Grabowskiego i klacz gniada Almea p. Mysyrowicza. Pierwszym dobiegł do mety Vanadis, własnością p. Dobrogosta będący, mając za sobą w odległości dwóch koni ogiera p. Grabowskiego O'Harasa, daléj Almeę i nakoniec Chon.

Gonitwa druga, nagroda Towarzystwa rs. 1,000, drugiemu koniowi połowa stawek wniesionych w przeddzień gonitwy. Elbrus ogier ciemno gniady p. Iłowajskiego, Druid og. kaszt. pana Grabowskiego, Mignon kl. gniada p. Mysyrowicza. Zwycięzcą w gonitwie téj była Mignon, własnością p. Mysyrowicza będąca. Za nią w odległości konia jednego przybiegł ogier p. Iłowajskiego Elbrus; ostatnim był Druid.

O nagrodę trzecią, Cesarską rs. 2,000, bieg wiorst 5, pięć rumaków ubiegać się miało: kl. gn. Pokusa p. Niemcewicza, klacz gn. Kochanka p. Wodzińskiego, ogier Saihak p. Iłowajskiego, og. gn. Rojal ks. Sanguszko, wreszcie og. gn. Jupiter Tonans p. Grabowskiego. Kochanka jednakże cofniętą została. Pierwszy przybiegł do mety Jupiter Tonans og. p Grabowskiego, mając tuż za sobą Rojala ks. K. E. Sanguszki Pokusę i Sajhaka.

Gonitwy zakończył wyścig z przeszkodami, nagroda Towarzystwa rs. 300, bieg wiorst 3, przeszkód 6, żokieje wyłączeni. Do gonitwy stanęły 3 konie: klacz Granata właściciel Szt. rot. Curików, og. gn. Hunter p. Dobrogosta, jeżdżony przez bar. Maydla i ogier stada Janowskiego Rozgrom, jeździec p. St. Wotowski.

Okazały ten wyścig smutnie zakończył się dla Rozgroma najlepszego z 3-ch ścigających się koni, wprawną ręką przez jednego z najdzielniejszych jeźdźców p. St. Wotowskiego prowadzonego.

Rozgrom sadząc przeszkody z nadzwyczajną łatwością, tak jak gdyby one żadnéj dlań zapory niestanowiły, po przebyciu drugiéj przeszkody wysunął się przed swoimi spółzawodnikami na odległość kilku koni naprzód, a szybkością swoją, dzielnemi skokami jak niemniéj przez umiejętne prowadzenie go przez doświadczonego jeźdźca, przodując ciągle swoim spółzawodnikom, już miał prawie zapewnioną wygranę, gdy nagle po znakomitym skoku przez 3-cią przeszkodę, widząc luźne przejście przez opuszczony sznur na ziemię przy jednéj z baryer, rzucił się w bok ku środkowi hippodromu.

Natychmiast zwrócony i wprowadzony na tor przez p. Wotowskiego, po przebyciu kilkudziesięciu kroków znów rzucił się w stronę, ale już wtedy zwrócenie go na tor okazało się bezskutecznem, albowiem spółzawodnicy zyskawszy przez upór Rozgroma na czasie, tuż pod trybuną sędziów o palmę zwycięztwa rozprawiali się. Tak więc klacz Granata jeżdżona przez swego właściciela p. Curikowa zdobyła pierwszą nagrodę.

Drugą zaś otrzymał og. gn. Hunter wł. p. Dobrogosta jeżdżony przez bar. Majdla.

Rozgrom zmuszony przez p. Wotowskiego do obiegnięcia toru przebiegł całe 3 wersty i dzielnie przesadził 6 przeszkód.

Spodziewać się należy, że Zarząd stada janowskiego da sposobność temu dzielnemu rumakowi do popisu na mających się odbyć w tych dniach wyścigach z przeszkodami i że w następnych latach dostarczać będzie tak dzielne konie do wyścigów, jak to dawniéj miało miejsce, gdy stado rządowe janowskie niejeden puhar na torze warszawskim zdobyło.

Dyrekcya wyścigów konnych wcale pokaźną summę, bo rs. 900 czystego dochodu wynoszącą, z miejsc na 1-szy wyścig zakupionych zyskało.

— Znana z wyścigów w Neuburgu klacz kłusaczka *Bichette-courageuse* należąca do pp. Joret braci w Neuburgu, która podczas ostatnich wyścigów tamże, przybyła pierwszą w wyscigu 13-tu kilometrów, przebiegłszy takowe w ciągu 25 minut i 11 sekund; teraz znowu dnia 8 maja wygrała wyścig, biegając podczas niepogody, i to jedynie z powodu zakładu przez jéj właściciela już poprzednio zrobionego.

Warunki. Wyścig kłusem w zaprzęgu, 4 kilometry przebiedz należy w 7 minut i 25 sekund.

Klacz *Bichette-Courageuse* przestrzeń tę przebiegła w 7 minut i 17 sekund to jest o 8 sekund wcześniéj aniżeli to było w warunkach postawionem.

W Chantilly Prix de Diane franków 45,525 wygrała klacz gniada 5 letnia La Jonchère po Vermout i Deliane do p. Lupin należąca.

W Auteuil Grand Steeple chase de Paris, Handicap franków 38,350 wygrał wałach gn. pełnoletni Congress po Compromise z kl. Countess wł. Lorda Lonsdale przebiegając przestrzeń 6,000 metrów najeżoną przeszkodami.

Hodowla koni. Dowiadujemy się ze Sporn'u berlińskiego, że w stadzie Austro-Węgierskiém w Kiszber, klacz Mineral urodziła d. 18 kwietnia r. b. gniadego ogierka po Buccaneer'ze.

Nowonarodzony jest rodzonym bratem znakomitego Kisbera należącego do p. Baltazzi. Kisber w roku zeszłym okrył się sławą, zdobywając wielkie Derby i nagrodę 100,000 franków w Paryżu.

Podobieństwo obu braci z sobą jest nadzwyczajne.

Miscelanea. Szczęśliwy właściciel Congress'a wałacha, który wygrał wielkie steeple chase w Paryżu, lord Lonsdale jest synem sławnego oryginała. Ostatni lord Lansdale był staruszkiem małego wzrostu, wychudłym ale też i bardzo ruchliwym. Nosił zwykle wytarte ubranie koloru brązowego, sam wyglądał bardzo nędznie, a na szyi z jedwabiu indyjskiego wązka pomięta chusteczka, raczéj na postronek jak na krawat zakrawała; kapelusz szary o długim włosie, modelowany widocznie z tego co p. Thiers już tylko nosi, lub hr. G. znany oryginał paryzki.

Lord Lonsdale pozostawił tryumfującemu dziś sportsmanowi a synowi swemu tylko 12 wspaniałych pałacy—jeden piękniejszy i lepiéj urządzony od drugiego. Główną rezydencyą staruszka była willa pod samym Londynem w Sainte-Arme, na drodze do Richmond. Nazywał on willę tę swoim folwarkiem, tak samo jak Marya Antonina nazywała Trianon swoją chałupą.

Willa ta była osobliwością w swoim rodzaju, a zbytek francuzki łącząc się z praktycznością i wszelkiemi wymaganiami gustu angielskiego składał się na nią. Sala jadalna cała z marmuru i złota pełna kwiatów i roślin najrzadszych, posiadała najpyszniejsze fontanny i najwspanialsze statuy w około.

Większą część sali pokrywał kobierzec gronostajowy; na nim to lord Lonsdale otoczony swemi psami, którym w czasie obiadu rozdawał kości wyjmowane z worka powieszonego za fotelem na którym siedział, przezydował obiadom wydawanym przez siebie na cześć piękności stanowiących ozdobę połączonych 3 królestw Wielkiéj Brytanii.

Szlachetny Lord, anglik z krwi i kości, posiadał czułe serce Ludwika XV-go które też w zupełności poświęcił rodzajowi Ewy.

Kobietę cenił jako artysta, był dla niéj z uwielbieniem; posiadał przy tém wielkie poczucie piękna i łatwość w ocenieniu wartości téj istoty.

Salony jego były meblowane odpowiednio rodzajowi piękności, kolorowi włosów i typowi kobiety którą u siebie podejmował. Salon w stylu Ludwika XV, dla kobietek o rysach mniéj regularnych z zadartym noskiem; styl średniowieczny, dla mających profil twarzy podłużny i rysy anielskie; styl maurytański służył cerze ciemnéj i kruczym włosom; a obicia z czasów Henryka VIII przeznaczone były dla imponujących fizyognomii i zarazem majestatycznych form. Często zaproszone na obiady Lord usadawiał w taki sposób, że jedna siedząc przy drugiéj wyróżniała się tak odmiennym typem, iż razem stanowiły cudny obraz ręką mistrza ułożony.

Oryginał ten posiadał prawdziwe archiwum damskie; zabierał bowiem na pamiątkę przedmioty do damskiego stroju należące, tak naprzykład pularesik srebrny księżnéj de P..; grzebień szyldkretowy tancerce F... E...; pantofelek księżnéj S..; wachlarz pani P... ostatniéj Celimenie komedyi francuzkiéj.

Jeżeli nie mógł wprost pozyskać przedmiotu którym się zachwycił, kazał go pokryjomu kupić od panien służących lub garderobianych i do tego specyalnie utrzymywał kobietę ułatwiającą mu podobne zakupy.

Często jednakże musiał długo wyczekiwać na zakup niejednego przedmiotu, czynił to jednak ze stoicką cierpliwością; a jako dowód posłużyć może pięć lat oczekiwania na dostanie boa, które zachwyciło go gdy zobaczył je na szyi pani Récamier.

Oryginał ten już nie żyje, a syn i następca jego właściciel wielkiego majątku, znanym jest jako sportsman posiadający piękne konie wyścigowe w Anglii.

— Pewna część arystokracyi francuzkiéj urządziła sobie w tych dniach przejażdżkę sportową w la Marche.

Odkąd wyścigi przepełnione bywają pół-światem paryzkim zajmującym przodowe miejsca w trybunach i na placach wyścigowych; damy towarzystwa niechętnie sportem wyścigowym zajmują się i bardzo mało na wyścigi uczęszczają.

Młodzi ludzie do najpierwszych klubów paryzkich należący, chcąc uczcić damy w domach których bywają, postanowili urządzić *meeting* prywatny.

Uradzili więc, ażeby tylko osoby zaproszone i znające się z sobą, udział w tém zebraniu przyjęły; rzecz prosta że towarzystwo *Cory-Pearl* i jéj podobnych wstępu mieć nie mogło.

Program wyścigów ułożony z góry, był tego rodzaju że nie miał zupełnie na celu polepszenia rassy końskiéj; służył wyłącznie dla zabawy i rozweselenia zaproszonych gości.

Zebranie w podobnym rodzaju, udało się bardzo w roku zeszłym. Wymagania co do samego przedstawienia były bardzo ograniczone: wyścigi albowiem ponejów i koni myśliwskich jeżdżonych przez dżentelmanów stanowiły główny program zabawy, i zarazem służyły za wyborny pretext do urządzenia bardzo przyjemnego spaceru i wybornego śniadania na świeżém powietrzu.

W tym roku nawet organizatorom téj zamiejskiéj wycieczki, udało się z wyścigami połączyć jeden jeszcze sportsmański element to jest tak zwany *coaching* czyli powożenie czwórką koni w lejc zaprzężoną do karety specyalnie na ten cel zbudowanéj.

Coaching rozpowszechnia się bardzo w Paryżu i z czasem dojdzie do tego jak w Londynie, gdzie ekwipaże te są bardzo w modzie i gdzie mnó-

stwo ich spotkać można na wszystkich spacerach; konie w nich tak bywają dobierane, że każda czwórka koni tak jak gdyby z braci rodzonych podobnych do siebie złożoną była.

Sport ten zachwycający spacerujących w Hyde-Park, zebrał rano dnia 16 maja i to poraz pierwszy téj wiosny aż 28 *coaches;* nowy klub (Orleans-club) w Twickenham był celem odwiedzin.

Klub ten pomieszczonym został w dawnéj rezydencyi hr. Paryża. Jest to budynek znajdujący się w wielkim i pięknym parku i przedstawia największe dogodności dla klubu zamiejskiego.

Hr. de Beaufort, prezes *Coaching-Klubu*, nie mógł przyjąć udziału w téj zabawie i dla tego syn jego powoził *coach'em* ojca, mając obok siebie księcia Walii, który nigdy podobnych partyi nie opuszcza. Książe de Teck małżonek siostry księcia Cambridge, zajmował miejsce obok p. Murietty, którego ekwipaż był bardzo admirowanym. Inne ekwipaże zwracajace ogólną uwagę należały do pułkownika Somerset kuzyna księcia de Beaufort i do p. Brassey.

Wszystkie 28 ekwipaży objechały najprzód Hyde-Park, następnie zaś udały się do Twickenham, zkąd późno w nocy powrócono.

Powracam teraz do dalszego opisu środowego wystąpienia (inauguracyi) w la Marche paryzkiego *Coaching-Club* który mnie aż za kanał *la Manche* zapędził.

Otóż przed samym wyjazdem pogoda była tak wątpliwą, niebo zachmurzone i dzien mglisty, że część towarzystwa wachała się z wyjazdem, aż nareszcie większość przemogła bez względu na niepogodę.

Cały park w La Marche przedstawiał jak najświetniejszy kobierzec pełen wiosennéj zieloności; brakło mu tylko blasku słońca, któryby choć trochę ożywił zaciemnione cuda natury. Niestety, napróżno oczekiwano; najmniejszy błysk słońca nie pojawił się.

Około drugiéj z południa odgłos trąbki był zapowiedzią rozpoczęcia defilady *coaches* których było czternaście. Po defiladzie *coaches* stanęły rzędami po kilka, przy trybunie sędziów i wyprzężono konie.

Wszystkie damy prowadzone przez panów zajęły miejsca na estradzie przy saméj rzece. Tym razem już przynajmniéj panowie postanowili nie zajmować się stroną hippiczną wyścigów, aby nie odstępując dam czynić im honory spaceru. Znalazło się jednakże kilku którzy dla czynienia zakładów wysunęli się z estrady. Zakłady czyniono szalone; naprzykład w biegu ponejow różnice bywały po 400 lub 500 ludwików. Jak to zwykle bywa podczas improwizowanych wyścigów, ubrania ścigających się były bardzo oryginalne i często śmiech wzbudzały. Śmiano się też do rozpuku; zarówno ci którzy śmieszności się dopatrzyli, jak również i śmiech wzbudzający. Jedność towarzystwa jego dobór i znajomość wszystkich pomiędzy sobą, usprawiedliwiała wesołość i najrozmaitsze żarty.

Podczas przerwy w wyścigach śniadano; oryginalny był to widok tych grup po 12 osób siedzących na wierzchu każdego coach. Kosze pełne zwierzyny, galantyn, sandwiczów i różnych potraw na zimno, które podawali służący ubrani w kurtki o rękawach czerwonych, huk korków wysadzanych przez wino szampańskie, widelce podniesione chwytające pulardy, wesołe krzyki, hałasy i śpiewy, wszystko to połączone razem sprawiało coś chaotycznego i zarazem dziwnego.

Spacer ten udał się jak najlepiéj, brakło tylko muzyki, która na przyszłém zebraniu znajdować się będzie.

Sprzedaże. W dniu 22 maja r. b. sprzedawano w Tälos w Austryi źrebaki roczne krwi czystej angielskiej. Najznakomitszą sprzedażą dokonaną w tym dniu był źrebak jednoroczny (ogierek) pochodzący po Buccaneerze z klaczy Voltella za którego zapłacono bajeczną i nie bywałą nigdy cenę w Austryi za roczniaka, to jest 9,500 florenów wynoszącą.

Nabywcą jest książe Trautmansdorff.

Inni nabywcy płacili dużo mniejsze cyfry za kupione okazy i tak: hr. Nadasdy za klaczkę kasztanowatą po Cambuscanie z kl. Spanisch-Fly zapłacił 3,300 fl., hr. Oktawian Kinsky za klacz gniadą po Ostreger 1,100 fl., hr. d'Orsay za ogierka gn. po Northcountryman z kl. Hanni 1,000 fl., a trener Osborne za gn. ogierka po Laneret z kl. Cuckoo, zapłacił 1,800 florenów.

J. N.

Sprzedaż koni przez licytacyę.

— Józef Chapman, zarządzający stadniną hrabiego Maurycego Potockiego ma honor zawiadomić niniejszém, że w następujący poniedziałek to jest dnia 18-go b. m. o godzinie 1-éj po południu w rajtszuli p. Golińskiego przy ul. Siennéj, będą sprzedawane 8 koni różnego wieku i maści, wierzchowych i pojazdowych, ze stada tegoż hr. M. Potockiego na Litwie w dobrach Horodno pochodzące; konie tego stada odznaczają się praktycznością w użyciu.

Konie te są następujące:

1. Bułany lat 4 po Lord Fitz Herold z klaczy Fals.
2. Gray lat 4 po Lord Fitz Herold z klaczy Sosnowska.
3. Bay lat 4 po Lord Fitz Herold z klaczy Robczycka.
4. Gray-Momus po Amatist z klaczy Nedża, 5 lat.
5. Diamont lat 5 po Amatist z kl Orlanda
6. Tranquil lat 5 po Tulem-pacha z kl. Sympathy.
7. Gray lat 5 po Amatist z kl. Kula.
8. Rifleman lat 6 po Zawisza z kl. Robczycka.

— W rozkazie Warszawskiego Ober-Policmajstra do Pol. Wyk. za Nr. 114 wydanym, zamieszczono:

W dniach 29 i 31 maja (10 i 12 czerwca) i 2 (14) i 5 (17) czerwca r. b., na polu Mokotowskim odbędą się wyścigi konne; służba żatem Policyjna, naznaczona w te dni, obowiązaną będzie ściśle przestrzegać porządku następującego:

1) Aby wszystkie osoby, udające się na plac wyścigów, przejechawszy rogatki, postępowały jeden za drugim około okopów, trzymając się prawéj strony, a zajechawszy tym porządkiem, z tyłu z galeryi dla wysadzenia publiczności zaopatrzonéj w bilety, udawały się następnie za baryerę, gdzie stawać mają w szeregach równolegle do galeryi.

2) Żaden pojazd, oprócz zaopatrzonych w oddzielne bilety, nie może się znajdować w innym, oprócz wskazanego miejsca; osoby przybywające na plac w ekwipażach, nie zaopatrzone w galeryowe i powozowe bilety, chociaż będą przepuszczone porządkiem wyżéj wskazanym po za galeryę, wszelako powinny bez zatrzymania się, przejeżdżać na drugą stronę baryer i tam stawać razem z próżnemi pojazdami podług przepisanego porządku.

3) Omnibusy za baryery przepuszczane nie będą, lecz winny zatrzymać się naprzeciwko małéj galeryi, w miejscu gdzie uskutecznia się sprzedaż biletów.

4) Osoby udające się na galeryę, oznaczone flagami kolorów, odpowiednich posiadanym biletom, przy wejściu obowiązane są po okazaniu, takowe zatrzymać przy sobie i zająć właściwy numer miejsca.

5) Chodzenie pomiędzy galeryami i szrankami, zabrania się.

6) Nikt z widzów pieszych nie ma prawa przybliżać się do szranek, lub przekraczać linię przez służbę policyjną utrzymywaną, a nadto przypatrujący się, powinni stać spokojnie, nie machać rękami, nie krzyczéć i nie klaskać, ażeby tym sposobem nie przestraszać koni.

7) Opłata kopytkowego uiszczaną być ma przy wyjeździe z miasta, a kwity oddawać należy przy powrocie do miasta w rogatkach: Mokotowskiéj i Jerozolimskiéj.

8) Zabrania się przyprowadzanie z sobą psów.

9) Pojazdy najęte powracając z wyścigów do miasta, winny postępować przez mostek, położony po za domem poboru opłaty rogatkowéj, a ekwipaże własne, drogą wiodącą wprost do rogatki Mokotowskiiéj.

Omnibusy powracać powinny do miasta dopiero po rozjechaniu się pojazdów.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie	Rs. 3	**kop. 20.**
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
Rocznie	„ 10 „ —	Rocznie	„ 12	



Wołyński handlarz koni na popaście (z obrazu Domaniewskiego).

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski**. — Дозволено Цензурою, Варшава 26 Мая 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa, Nowolipki, 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki. Nr. 3